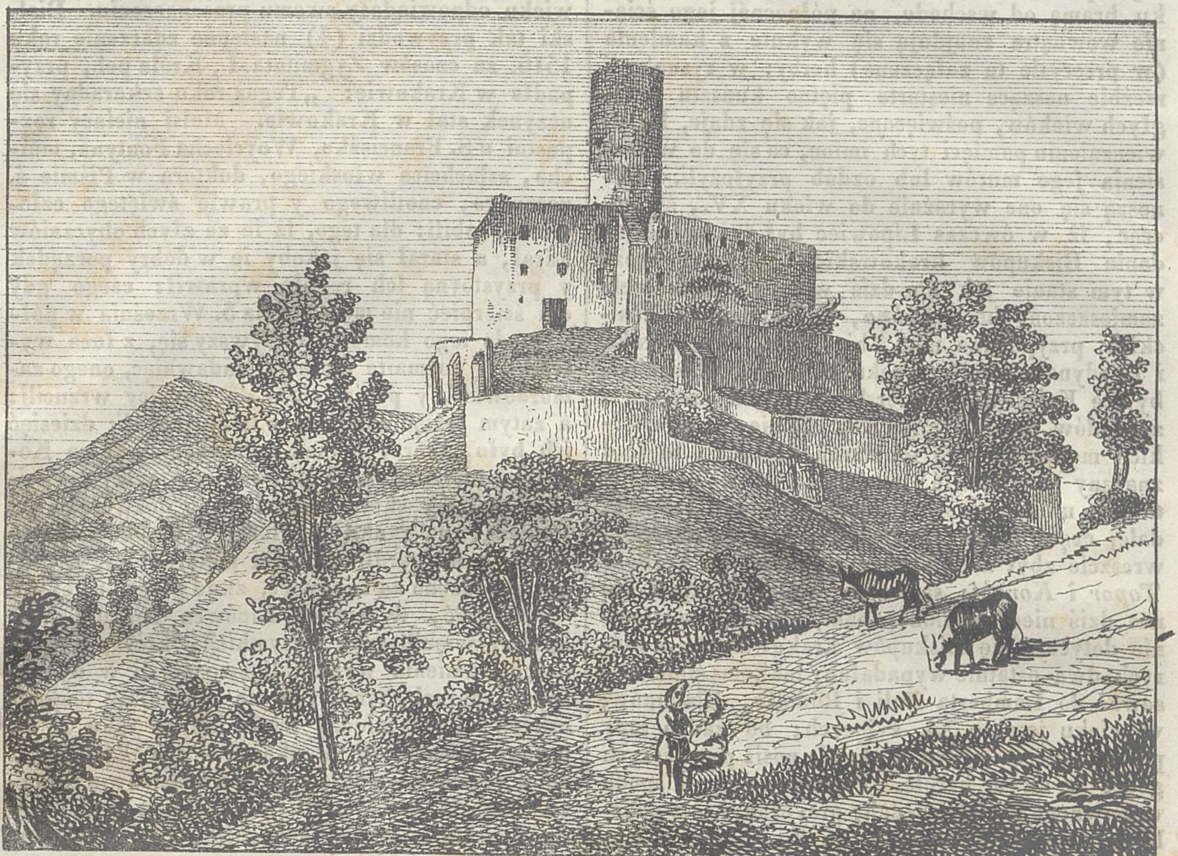
Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. No. 25. Leszno, dnia 16. Grudnia 1843.



Rozwaliny zamku w Lipowcu.

Lipowiec zamek.

Zamek Lipowiec, o 5 mil powyżéj Krakowa, dziś w granicach Rzeczypospolitéj krakowskiéj, leży wśród najpiękniejszych okolic górzystych i uśmiechających się nizin, prądami Wisły odwilżanych. Wyjeżdżając z pięknéj włości **Poręba**, na trakcie szlązkim, i zostawując na prawo pustelniczą **Alwernię**, uderza nas opodal ponury widok majestatycznych zwalisk, stanowiących wzniosły i malowniczy widok, i chociaż od dawna już opuszczonych, przy mocném zbudowaniu opierających się silnie ostatecznemu upadkowi, i dziś jeszcze, jak nam rysunek wskazuje, znaczny gmach tworzących. W ustach okolicznego ludu tkwi przykuta do miejsca tego pocieszna powiastka: że gdy zamek ten stawiano na przeciwległéj górze, złe duchy w nocy przenosiły mury jego przez dzień postawione na tę, na któréj go dziś stojącym widzimy. Nie można atoli zaprzeczyć, że jakaś obszerna budowa, a najpewniéj rozległy gród, musiał znajdować się w odległych bardzo wiekach na wspomnionéj górze, o czém sądzić każą do dziś dnia znajdujące się tam jeszcze znaczne gruzy.

Nie dochowało się obecnym czasom imię pierwszego założyciela lipowieckiego zamku. Zdaje się jednak być pomnikiem zapadłéj starożytności, a może dotykać wieku Kazimierza W., który za swego panowania tyle pobudowawszy posad obronnych na pograniczu i wewnątrz kraju, słusznie zyskał nazwisko restauratora Polski. Zamek ten wzniesiony u podnóża wsi Lipowca, niegdyś, jak Cellaryusz wspomina, mia-

steczka, (1) po nad lewym brzegiem Wisły, na szczycie skalistéj góry, był zapewne początkowo prostą warownią, jak wiele innych, przeznaczoną zasłaniać kraj przeciw zagonom hord tatarskich. Od jak zaś dawnego czasu został majętnością, z przyległemi włościami należącą do dóbr Biskupów krakowskich, nie dało mi się dojść po śladach historyi. Wchodząc do zamku bramą od wschodu, na północnéj jego ścianie wewnątrz znajdują się wykute z kamienia (w przerysie tu załączone) herby; w rysunku i rzeźbie noszące niestarte piętno kunsztu odległych wieków, poświęcone, jak się zdaje, ku uwiecznieniu pamięci tych imion, co się do wzniesienia jego murów lub ozdób przyłożyli. Odnoszą się one wyraźnie do wieku XV., świadcząc, iż w ówczas Lipowiec był już w posiadaniu Biskupów krakowskich, niemal może w tym stanie jak go dziś widzimy. Na czele zamieszczony herb *Dębno*, godło domu Oleśnickich, przypomina nam Zbigniewa, Bisk. krak., i Kardynała zmarłego roku 1455., szczodrego nabywcę Księstwa siewierskiego, tylu świątyń i zakładów pamięci godnych, równie dzieł wielkich męża, którego wrodzona hojność i tu ślad znaczny pozostawić musiała. Obok położona tarcza, mieści płaszczyznę *trójkątną z buławą*, daléj część herbu *Radwan*, i w podle *Kotficz*, wreszcie zbyt niedokładne wyobrażenie herbów *Topor* i *Korab'*; są to po większéj części dla nas dziś nieodgadnione znaki, nie mogące zupełnie dotyczyć się Biskupów krakowskich; z których dwa ostatnie wypadałoby lekkomyślnie stósować do Lamberta Zuli i Rudolfa, Biskupów, w wieku jeszcze XI. żyjących; bo żaden inny przed końcem wieku XVI. nie nosił powyższych godeł w swym herbie. Pierwszy zaś, u spodu w dziwnego kształtu ozdoby przybrany, jest podobieństwem zbliżony do herbu *Jastrzębiec* i musi być własnością Wojciecha z Jastrzębia, Biskupa krak., 1423 roku na arcybiskupstwo gnieźnieńskie wyniesionego, a zmarłego roku 1436. Drugi w podle z krzyżami w podkowach, jakby cząstka tamtego herbu, nie pozwala odgadnąć godła, ni jego posiadacza. W środku herb *Radwan*, Jędrzeja Zebrzydowskiego, Biskupa krak., zmarłego roku 1560., skromnie a ozdobnie umieszczony, nie jest tu bez swego właściwego znaczenia.

Starowolski w opisie Polski (2) przytacza o Lipowcu: „Gdy bowiem Biskup krakowski „jest najwyższym panem Księstwa siewierskie„go, które kilka miasteczek zawiera, Lipowiec, „między innemi, jako bliższy miasta Krakowa, „gdzie pospolicie odprawiały się sądy, na wię„zienie rozwiązłego duchowieństwa oddawna „przeznaczył.“ Późniéj, jak świadczy Łubieński, było tu więzienie dla duchownych, potrzebujących poprawy życia; w tém więzieniu stósowne seminaryum fundowane. (3) Niedodaje atoli, kiedy i przez kogo.

Przytoczone zdarzenie przez Stanisława Sarnickiego w jego Rocznikach i Kronice Marcina Bielskiego świadczą, jak mury Lipowca w XVI wieku odpowiadały swemu przeznaczeniu. Bielski tak przywodzi (4) następne zdarzenie roku 1516. za czasów Zygmunta I., Króla pol., przypadłe w Krakowie: „Tegoż roku szkaradny się uczynek stał w Krakowie. Mnisi nieiacy rozpustni u Ś. Franciszka, Woyciecha Fontyna, mnicha, szlachcica włoskiego, doktora w Piśmie ś. uczonego, cnotliwego y prawie świętego człowieka, zabili: dla tego, iż ie ze złych obyczaiów karał, a starał się jakoby ie w dobry porządek y przystoyną ich regułę wprawił: czego gdy oni ścierpieć nie mogli, dnia 5. Września w północy do iego komorki dobywszy się, z łoża wywlekli y rozmaite mu męki zadawaiąc, onego zamordowali, y potém ciało do piwnicy wrzucili: a zatym maiąc sumienie o to pouciekali; dziesięć ich było, którzy iednak za staraniem Jana Konarskiego, Biskupa krakowskiego, wszyscy poimani byli: y skoro przywieziono dozwolenie od Papieża, na rynku P. Maryi w Krakowie osądzeni, y na gardliech iedni pokarani są, a drugie posadzono na Lipowiec, zkąd potém uciekli.“

Niedość, w murach Lipowca Biskupi krakowscy więzili tych wszystkich, którzy z wolnością sumienia wynurzali swe myśli w ówczesnych sporach, tyczących się dogmatów teologicznych; i tak między wielu innymi roku 1550. uczony Franciszek Stankar, uczeń Zwingla i zdań jego rozsiewacz, był tu uwięziony z rozkazu Samuela Maciejowskiego, Biskupa krak., męża z resztą niepospolitych zalet, pod względem cnót obywatelskich i wymowy.

W czasie najścia Polski r. 1655. przez wojska szweckie, których łupiestwo i pożogi, dwie cechy swój pobyt wszędzie naznaczały; pod czas gdy Karól Gustaw oblegał Kraków, przeciw mężnéj obronie Stefana Czarnieckiego, Wojewody kijowskiego, acz nie licznéj, bo z 3,600 wojska złożonéj, dnia 17. Października poddać się musiał. Wirtz, Komendant Krakowa, stolicę tęgnębiąc, zamki Ojcowa, Pieskowéj-Skały i Bobrku, osadził wojskami; nie uszedł też i Lipowiec téj kolei, w którym zostawały od 1655. do 1657 roku, aby strzedz własnego bezpieczeństwa i wstrzymywać dzielny lud okoliczny od podniesienia oręża w obronie własnych swobód przeciw srogiemu ciemiężstwu najezdców.

Rzączyński, a za nim Ładowski, w Historyi

(1) Descriptio Regni polo. et M. Duca. Lithuan. Andr. Cellarii a 1659. p. 541.

(2) Polonia sive status Regni pol, Collonicae 1632. w zbiorze Miclera str. 442.

(3) Świat we wszystkich jego częściach, Władysława Łubieńskiego; w Wrocławiu 1740. in folio.

(4) W Kronice polskiéj wyd. Gałęzowskiego w Warszawie 1830. str. 181.

naturalnéj kraju polskiego (5) wspominają: iż tu w studni jest taka woda, w któréj drzewo leżące, w kamień się przemienia, a z którego chłopi robią osły do ostrzenia żelaza.

Dodać nam tu należy wiadomość o życiu snycerza polskiego, a tém był Wawrzyniec Knapiński, włościanin, snycerz z natury, przezwany od ludu czasem Pituch, a częściéj Bożek, z powodu, że wyrabiał wyobrażenia Boskie i świętych. Urodził się Knapiński w wiosce Płazach r. 1771., dziś w okręgu w. m. Krakowa leżącéj. W młodym wieku wyuczywszy się stolarstwa, chodził po wsiach i dworach za tą robotą. Użyty od Biskupa krakowskiego Sołtyka do roboty stolarskiéj w pałacu Biskupów w Krakowie, zjednał sobie jego względy i przychylność, w skutek czego otrzymał w darze na wieczne czasy kilka morgów ziemi i chatę w Lipowcu; gdzie osiadłszy, trudnił się najwięcéj robieniem łożów do strzelb, a w końcu wyrabianiem wyobrażeń Pana Jezusa we flaszeczkach, a nawet w tak drobnym kształcie, iż takowe w piórku mieścić się mogły. Umarł w zgrzybiałym wieku w Lipowcu r. 1833.

Dnia 10. Października 1843.

J.

Wyjątek z dzieła drukiem dotąd nieogłoszonego: *Miasta, góry, doliny i t. d.*

(Dalszy ciąg.)

Niechciało mi się jeszcze temu wszystkiemu dowierzać. Poszłam sama do oberży; lecz niestety! tam mi jeszcze toż samo powtórzono. Prosiłam o jakiego człowieka miejscowego, do najęcia, czy to stróża, któryby sprowadził rządcę, czyli chłopaka, coby tylko drogę memu Michałowi wskazał; ale i tego otrzymać nie mogłam. W całym zakładzie nie było ani jednéj męzkiéj duszy, a dziewcząt gospodyni odsyłać nie chciała.

Wysłałam więc Michała, zalecając największy pośpiech; lecz najęty furman się niecierpliwił i chciał wyprzęgać, a ja dla zużytkowania długiego czekania, zapytałam o traktyernią.

— „Traktyerni tu innéj nie ma, jak moja,“ odrzekła mi gospodyni. „Przeszłego roku wprawdzie był jakiś oberżysta, czy tam kucharz z Sącza, ale, że wiele stracił, więc zapewne na ten rok nie wróci.“

— „I cóżbym mogła dostać u pani?“ zapytałam.

— „Już to gotowego nic nie ma, aleby się zgotowało. Dziś piątek, mięsa nie mamy, ale....“

— „Może są ryby?“

— „Ryb nie miewamy. Późniéj w Sierpniu czasem pstręgi, czasami łososie przynoszą, ale co teraz....“

— „Czémże tu teraz żyją? może ziemniakami.“

— „Ziemniaki już się skończyły, a do nowych jeszcze daleko!“ ze smutnym jestem i bolesném westchnieniem odrzekła mi gospodyni.

— „A więc oczywiście nie ma nadziei obiadu.“

— „Jest kasza, są jaja, mąka, mogłaby się jajecznica, lub naleśniki usmażyć.“

Po téj długiéj naradzie, skończyło się na kaszy i jajecznicy, i to był mój pierwszy w Szczawnicach obiad. — Po obiedzie dowiedziałam się, że owa w głębi altanka, kryła główne źródła, ów drewniany dworek zwał się w Szczawnicach zamkiem, a oficyna, przed którą stał jeszcze mój pojazd, pałacem. Kto je tak ochrzcił? nie wiem.

Ten pałac, przedmiot gorących mych życzeń, to Eldorado mych trzydniowych marzeń, był długi budynek drewniany, na paro-łokciowém podmurowaniu. W całéj swéj długości miał ganek przykryty wystającym dachem, na który to ganek wychodziły wszystkie okna i drzwi gościnnych mieszkań:

Mieszkania te zupełnie były jednostajne, co wielce ułatwiało wybór. Z wejścia sionka, w któréj kuchnia; w bok drzwi do pokoju, czyli raczéj izby o dwóch oknach, a za nią wązka łazienka; już wszystko.

Co do mebli. W izbie stał stolik sosnowy, na którym ciekawi mogli wyczytać swych poprzedników dowcipy i poezye, na pół tylko zmyte; podobnież cztery stołki, i dwa także sosnowe łóżka, tak wązkie i tak krótkie, że ani obrócić się, ani nóg wyciągnąć nie podobna było. Na nich zamiast materaców słoma, za któréj świeżość niechciałabym ręczyć.

W gabinecie, stolik, dwa stołki i dwie drewniane stare wanny; do nich woda przez wielką w ścianie dziurę drewnianém korytkiem wlewana, przez drugą w podłodze dziurę spływała pod pałac, któremu udzielała niesłychanéj wilgoci.

Co do przyjemności: tychby wszystkich tak dokładnie, jak mebli, wyliczyć niepodobna.

Najprzód, ściany ani wewnątrz, ani zewnątrz nieotynkowane, a szpary między okrągłém nieobciosaném ich drzewem, niepozatykane mchem, dozwalały wolnéj powietrzu i wszelkim karpackim zefirom cyrkulacyi, obok rozrywki słyszenia każdego słowa, szelestu, nawet kadzidła, lub fajki sąsiada.

Powtóre, zamiast gazet i książek, (które często na kłopoty, a zwykle na koszt niepotrzebnie narażają) każdy miał na stolikach i szybach, czém zasilić rozum.

Potrzecie, przechodząc gankiem, mógłeś każdemu zajrzeć w okno, dowiedzieć się, co się u sąsiadów dzieje i wzajem widzieć, jak do ciebie zaglądają, bo w pałacu firanki były jako całkiem niepotrzebny uważane wynalazek.

Prócz sąsiadów i ich służących, cały dzień

---

(5) Wydanéj w Krakowie 1804 roku w Tomie II. stron. 320.

mile się rozrywali ciągłém zaglądaniem i stukaniem w szyby wieśniacy. Byli to dostarczyciele żywności; w braku targów tam nieznanych, u nich się robiły zapasy. Kury, gęsi, kaczki u nich zakupione, mieściły się w podmurowaniu, na którém gmach spoczywał. Ten rodzaj piwnic, te ciemne i wilgotne sutereny, nigdy nie osuszone, ani oczyszczone, wiernie dochowują wszystkich swych mieszkańców spadłość, a przez szerokie w podłodze szpary, udzielają ci swego chłodu i miłéj woni; kaczki zaś i kury, już skazane na śmierć, ciągłém a melodyjném kwokwaniem, zdają się usiłować serce twe wzruszyć, o życie błagać.... Gdy ustaną pienia, już wiesz, że wyrok spełniony!... Otóż masz pan i dramat. „*Il y a des émotions ridicules qu'il ne faut pas laisser voir;*“ — mówi Wiktor Hugo. (1)

Może inni pocieszali się w takim razie nadzieją dobrego rosołu; ja zaś ze wstydem wyznaję — uciekałam z domu. Ale gdzie się udać?

W którą bądź obrócisz się stronę, widzisz tuż przed sobą ogromną górę, zamykającą ciasny horyzont. I niemyśl, że to z tych gór fantastycznych, co jeżeli wzbraniają przystępu, oko przynajmniéj zachwycają, lub bawią. Nie; są to zupełnie prozaiczne trzy poważne góry, jedna owsem, druga kartoflami, trzecia karlim jałowcem porosła, a te poczwary w swém objęciu, zdają się gotowe biedne Szczawnice zdusić. Z czwartéj tylko strony, ginie w wąwozie wijąca się droga, (droga jedyna, którą przyjechałam) a za nią w oddaleniu, dla pociechy oka, wznoszą się wspaniałe Pieniny z zawojem mglistych chmur na szczycie, który to zawój czasem pod stopy rzuca dumnie, wówczas nad chmurami swe obnażone podnosząc czoło.

Ale to tylko, jak mówiłam, dla oka; Pieniny daleko, gdzieś za Dunajcem: ten w głębokiém kryjąc się korycie, wtenczas dopiero objawia swoję przytomność, gdy niespodzianie zastąpi drogę, wzbroni przechadzki. W całych więc Szczawnicach kilka wązkich i krótkich ścieżek między źródłem a oberżą dla pijących niby urządzone, jedynym są spacerem. Małe i nędzne drzewiny za kilkanaście lat cienia obiecują, a drewniane po bokach ławki chciałyby twierdzić, iż na takiéj przechadzce zmęczyć się można. Ale temu jeszcze, mniemam, nikt nie uwierzył.

Oto są Szczawnice.

Nie miałam przed tém wyobrażenia o podobnych wodach; znając tylko zagraniczne, nie domyślałam się, że istnieją takiego rzędu zakłady; a nikt, nikt z tych nawet, u których się wypytywałam, nie przygotował mię litościwie na nie; owszem każdy, jakby na figiel, zbywał mię odpowiedzią: — „O, pani się tam wybornie zabawisz.“

(1) Le Rhin. t. II. p. 117. wydania brukselskiego.

Trzeba nadto dodać, iż lekarzami i stanem méj choréj naglona, wyprzedziłam szczawnicki piękny świat, a lubo szóstego Lipca tam przybyłam, jeszcze się gromadzić ani myślano. Piekarza nawet i rzeźnika za tydzień się dopiero spodziewano, ztąd, zupełny brak dwóch głównych potrzeb życia, nader trudnych do zastąpienia.

Wszystko to jednak dość heroicznie znosiłam. Wszystko ze stoicznym przyjmowałam uśmiechem. Lecz, gdy cierpienie méj Wiktosi raptownie się wzmogło, tak, iż blizkiém grożąc niebezpieczeństwem, w największą mię wprawiły obawę, a tu dowiedziałam się, że w tym zakładzie dla chorych, nie ma ani doktora, ani apteki, gdy nawet żadnych ziół, jako: mięty, rumianku, nie mogłam ani we włości, ani u saméj właścicielki dostać za żadne pieniądze; natenczas wyznaję, iż mię prawdziwa ogarnęła rozpacz. Gorzkie napisałam do pana Brodowicza wymówki, iż mię na takie skazał wygnanie, i na całą noc umyślnego posłałam do Krakowa, prosząc o radę, o pomoc, o ratunek.

W takiém usposobieniu, znalazło mię towarzystwo szczawnickie, gdy się ku końcowi drugiego tygodnia zjeżdżać poczęło. Dość z natury dzika, a dla obcych zbyt zimna, wiem zawczasu, iż nikt ze mną, a ja mało z kim prawdziwą znajdę przyjemność, i ztąd mało się łączę, za nikim nie gonię, co mi mało sprzyjających, a wiele nieprzychylnych czyni.

Tak było i w Szczawnicach.

Ale ja do tego już przygotowana, a znając téj zagadki słowo, zawsze swym zwykłym cichym i cienistym idę torem, nieznajdując, iżby warto karcić swą naturę, dla tak nędznych rezultatów; gwałcić ją do jakichś udanych, niezgrabnych, bo fałszywych uśmiechów, dla uzyskania podobnychże, dla kupienia jakiéjś czczéj pochwałki, lub przyjemności słyszenia na wszystkie strony: „*ma chère amie! — ma toute chère!! ma bien chère!!!*“

— „*Mes chers amis, je vous donnerait tous pour un seul ami!*“ powiedział raz w licznem gronie bardzo mądry człowiek.

Otóż w Szczawnicach 1839 r., bardzo się dużo zebrało takich przyjaciół i przyjaciółek, (o których to bardzo dowcipnie Kraszewski w N i e z a p o m i n a j k a c h z roku 1842. napisał); a jak to najczęściéj bywa, gdy się zgromadzą, zaczęto na nudy wyrzekać. Chciano bal ułożyć, bal się nieudał; chciano spacerów dalekich, spacery się nie darzyły. Komeraże dawne tylko z zeszłego roku powtarzano; te się zużyły; żadna nowa ploteczka na błyskliwém jakiém tle nasnuć się nie dawała; słowem, nic nie było do pokrzepienia umysłu, ani serca.

Jeden tylko spacer, do którego i ja namówić się dałam, wybornie się powiódł. Był to obiad w Czerwonym klasztorze, miejsce zachwycające pięknością, między skałami i Dunajcem,



Herby na ścianie północnéj w dziedzińcu zamku Lipowca.

o dwie mile od Szczawnic! Pojechano tam dla skrócenia drogi, przez góry i stosy kamieni, w małych góralskich wózkach. Przyjechawszy, każda z nas mniemała, że się w kawałki roztrzęsła. Po odpoczynku na trawie, w cieniu, tuż przy zastawionym już stole, obiad niecierpliwie czekany tém bardziéj smakował.

Po obiedzie, ku schyłkowi słońca wracaliśmy Dunajcem. Czołna zawczasu przyrządzone, po parze dla większego bezpieczeństwa przywiązane, z dobranymi sternikami, usuwały wszelką obawę. Z pośród granitowych ścian, zielona i kwiecista ziemia, kiedy niekiedy nam się ukazała w swym świątecznym stroju, jakby chciała żal po sobie zostawić. Niebo prześlicznie się nam śmiało. Dunajec był w dniu niezwykłéj łaskawości, czasem nas tylko dla swawoli porwał, tak, że aż tchu w piersiach zabrakło, i znów wolniejąc, łagodném bujaniem zachęcał do marzenia, a skalistemi swych brzegów wdziękami, to marzenie w poezyą obracał. Muzyka ze Szczawnic razem z nami przybyła, acz w gruncie nader mierna, prześliczném echem się tam powtarzała, lub tkliwym nas kołysała

mniéj głośnym śpiewem. Wszystko było w harmonii, spokojne, przyjemne i miłe — wszystko — nawet umysły i humory.

Ale podobny spacer, drugi raz się powtórzyć nie dał. Im się bardziéj zwiększało towarzystwo wodowe, tém więcéj pretensyi, zawiści się rodziło. Wszystkie drobiazgowe namiętności towarzyskie, najprzód pianissimo, także w Czerwonym klasztorze, niktby się nie był o nich domyślił, późniéj, coraz szły kreszendo.

Utworzyły się wkrótce dwa, nawet trzy stronnictwa. Jedni drugim u źródła kłaniali się z ukosa, przez ramię, innym nie kłaniali się wcale. Do jednych się zbliżano z uśmiechem na ustach, a z żółcią w słowach, od drugich odwracano głowę. Szukano powodów do krytyk i obmowy; w końcu, obgadywano się niemiłosiernie — i już się nie nudzono.

Spacery bywały tylko częściowe, bo do jedności już nawet nikt nie rościł pretensyi, gdy niespodzianie podano projekt wielkiego pikniku w Nedun. Projekt ten, kilkakrotnie upadał i znów się wznawiał; jedna partya wszelkich przykładała starań, żeby się utrzymał; druga, czyniła co mogła, żeby nieprzyszedł do skutku; trzecia jeszcze badała swych sympatyi i antipatyi, by wiedzieć, na którą przeważyć się stronę. Ja zaś zupełnie i ściśle neutralna i tylko przez okno na to wszystko patrząca, prawdziwą stałam się tych żwawych zabiegów ofiarą. Duch stronnictwa, jak wiadomo, niczém nie gardzi; każda mu zdobycz dobra.

Ze wszystkich więc stron uwzięli się na mnie, każdy mię chciał na swą przeciągnąć stronę. Nie dawano mi chwili spokojnéj; karmiono słodkiemi pochlebstwy, kłóto ostremi przycinki, a ja, jakby nic nie rozumiejąc, śmiałam się w duchu, długi czas nie mówiąc ani tak, ani nie.

W końcu jednak, gdy mię ta ponawiana napaść męczyć poczęła, dla położenia im raz końca, wyrzekłam, że pojadę.

Dnia następnego była Niedziela; a lubo Pioniny (2) nie zupełną zapowiadały pogodę, odkładać już nie chciano, czyli raczéj nie śmiano. Górale bowiem jeszcze mniéj za dni następne ręczyli.

Mimo odszczepieńców, towarzystwo było liczne; lecz niektórzy mszą późną lubią, drudzy, nigdy rano wybrać się nieumieją, trzecie, o toalecie dość wcześnie nie pomyślały; ztąd wynikło, że dość późno wyruszono.

Przybywszy do Czorsztyna, postrzeżono brak kilku pojazdów i przypomniano, iż się o drogę nie umówiono; każdy inną pojechał, trzeba było czekać na opóźnionych. Przeprawa Dunajca, także zabrała dużo czasu, bo łodzi tylko było dwie, a osób i pojazdów znaczna ilość.

Tym czasem słońce swe promieniste potoki już prostopadłe, lało na nasze głowy. Powietrze zrobiło się ciężkie i gęste, tak, iż ledwo oddychać dozwalało.

Przepłynąwszy Dunajec, trzeba było pieszo długą przebyć łąkę, a w końcu, wyjść na ogromną górę, na któréj stoi pałac nedecki. Po trzęskiéj trzy-milowéj drodze ze Szczawnic do Czorsztyna, ten pieszy spacer zupełnie był zbytecznym, nabawił on wielu (do któréj liczby i ja niestety należałam) nieznośnego bólu głowy.

W Nedun pokazywano nam więzienia i więźniów. W Węgrzech bowiem dotąd, dziedzic jest najwyższym w swych dobrach sędzią. Neducki pan przyjeżdża tam tylko jedynie na sądy. Chciano nas oprowadzić po wieżyczkach. W jednéj tylko byłam. Tam zachwycający na Czorsztyn widok, na chwilę o bólu głowy dał mi zapomnieć, lecz ten późniéj jeszcze bardziéj się wzmógłszy, odjął mi ochotę do wszystkiego, i już więcéj nic nie widziałam.

Obiad był długi, jak zwykle, gdy stół na 40 osób nakryty.

Po obiedzie zabrano się do Czerwonego klasztoru, gdzie znów nas czekał Dunajec z łódkami, które do Szczawnic wrócić nas miały.

Mniéj odważni, kazali konie zacinać, by na Dunajcu wyprzedzić zachód słońca. Na pół drogi straszliwa spotkała nas burza. Ulewny deszcz zmusił do pierwszéj schronić się karczmy. Tam dla zagłuszenia tych, co rozpaczającym głosem powtarzali: „Co tu począć? Co z nami będzie, jak zupełny zmrok padnie?!“ zaczęto tańcować. Najprzód miejscowa niedzielna kapela, późniéj nasza szczawnicka orkiestra, nieodbita towarzyszka wszystkich wypraw spacerowych, pobudzała do ochoty. Zatańcowano więc obawę i niewczesną przezorność, a gdy deszcz ustał, puszczono się natychmiast w drogę, nie namyślając, co daléj będzie.

Lecz nimeśmy przybyli do Czerwonego klasztoru, zupełna noc już go osłaniała. Mężczyzni pospieszyli do brzegu.... nowa trwoga.... nowe podziwienie.... Żadnéj łódki.... żadnego przewodnika!

Wówczas już jednym głosem wszyscy zaczęli wołać: co tu począć? co tu począć!....

Mężczyzni pobiegli o parę staj do karczmy za czołnami. Tam się dowiedzieli, że zamówieni Górale nadaremnie przeczekawszy większą część dnia, zabrali je i wrócili do domów. Kilku z nich tylko, przy kieliszku kończyło niedzielę, schowawszy łodzie pod skały.

Te natychmiast wydobyte, na nowo w pary powiązane; ale ich liczba nie dostateczna, przeładowywać niebezpiecznie, tém niebezpieczniéj, że najlepsi przewoźnicy, ci, co zwykle w podo-

(2) Góry zwane Pioniny, są barometrem szczawnickim. Gdy od rana dają się widzieć mgłą pokryte, lub, kiedy chmury czepiają się to u stóp ich, to u wierzchołka, mówią, że Pioniny kurzą się, gdyż te chmury wznosząc się i opadając, zupełnie podobne do kłębów dymu. Wówczas już każdy swe spacerowe projekta na inny dzień odkłada.

bnych przeprawach przewodzą, nie pozostali w karczmie, a ci, co tam zostali, łatwo się domyślić, w jak wesołym byli humorze. — A tu noc czarna, na niebie ani jednéj gwiazdy, a Dunajec pomny jeszcze przedwieczornéj burzy, szumi, mruczy, wzdyma się i z gniewem o skały bije.

Obawa powstała ogólna, u jednych jawna, u drugich skryta. Jedni radzili w pojazdach noc przepędzić, drudzy, chcieli płynąć, inni zajechać do karczmy. Każdy coraz głośniéj swe utrzymywał zdanie, coraz żwawiéj ucierano się, o niemal się już kłócić zaczynano, a tu czas ucieka i łodziarze dłużéj czekać nie chcą.

W końcu, każdy postąpił według siebie. Wielka część zawróciła do karczmy, odważniejsi wskoczyli do łódek.

Ale przy łódkach światła nie ma. Zamawiając je, nikt nie myślił o kagańcach, w pewności, iż za dnia się wróci; a jednak bez nich w nocy na Dunajec puścić się niepodobna. Rzeka ta bowiem, tak gwałtownie unosi, iż cała sztuka wioślarza, zależy jedynie na chronieniu łodzi od skał na dnie sterczących, a o które roztrącić się jak najłatwiéj. Do tego światło niezbędnym warunkiem; tém bardziéj, iż po najmniejszym deszczu Dunajec się natychmiast wzdyma, a wówczas pokrywa falami ogromne granitowe bryły, w dniach spokojnych nad powierzchnią jego się wznoszące.

Tak też i owéj nocy było.

Posłano do karczmy i wioski w nadziei dostania kagańców, a tym czasem dzielono się rzeczami, służbą, jeszcze się namawiano, jeszcze starano się przekonywać wzajemnie, w końcu się żegnano.

My, to jest ci, co odpłynąć mieli (bo ja do tych należałam) zwaliśmy zostających karczmarzami, tchórzami, przepowiadaliśmy im, jaką będą noc mieli w żydowskiéj izbie, wszyscy razem, na słomie, bez pościeli, bez poduszek, damy w ukwieconych czepkach na głowie. Śmieliśmy się, jak będą nazajutrz wyglądać; życzyliśmy im miłych snów i smacznego śniadania.

Oni, zamiast śmiechu, wzdychali nad nami. Zamiast krotofilnych przycinków, dramatycznie opowiadali straszliwy z poprzedniego roku wypadek. Mówili, jak podobny i do tegoż miejsca spacer z namysłu urządzony; tak, by wracać nocą, w noc spokojną i gwiazdzistą, w łodziach doskonale oświetlonych, z dobranymi i trzeźwymi Góralami, smutnie się zakończył. Jak się główna łódź o sterczącą skałę zaczepiła. Jak z pod niéj omdlone panie, za długie wyciągano warkocze, którym jedynie życie były winne, jak dalece Opatrzności przypisać należy, że się na samym strachu, mdłościach i spazmach skończyło. Nam przepowiadali gorzéj.

Wyznaję, iż skulona w małéj łódce, pod przenikliwym i jęczącym Dunajca wiatrem, w pośród nocy, bez żadnéj w sternikach pewności, z nerwami cało-dniowym bólem głowy zdrażnionémi, nie w najlepszym byłam humorze. Lecz już opuszczać czołna niepodobna było. Złego dawać przykładu, nową scyssyą tworzyć nie wypadało. Szalone bowiem zamiary, tém silniéj uporem wspierać trzeba, iż rozsądek im swéj odmawia podpory, iż je rozum odpycha. Uczuwszy w tym razie prawdę téj chwalebnéj zasady, po trzykrotném wysłuchaniu aż do końca tragicznego pani M*** zdarzenia, śmiałym głosem zapytałam: czemu już nie płyniemy?

Odpowiedziano: iż tylko dwa dostano we wsi kagańce i temi dwie najpierwsze z rzędu opatrzą łodzie. Dla innych zaś szukają jeszcze smolnych gałęzi i łuczywa, któremi sobie przyświecać będą.

Tak więc około północy, zaczęła się nasza żegluga. Najprzód, dla lepszego rezonu, na niektórych czołnach słychać było wesołe śpiewki, tu i owdzie głośne rozmowy i śmiechy. Lecz nie długa ta nakazana trwała hożość. Im się daléj zagłębiliśmy w tych coraz gęściejszych cieniach, tém i ponurość nocy wszystkich ogarniała bardziéj.

Wierzchołki ciasnych prostopadłych opok, ginęły w równie czarném niebie, tworząc z niém jedno żałobne, jakby podziemne sklepienie. W pośród téj straszliwéj pieczary, pieniące się po brzegach Dunajca fale, toczyły w środku mętne kłęby, równie czarne, jak reszta obrazu. Światło naszych łódek zaledwo mignąwszy po nich, żadnego po sobie nie zostawiało błyskliwego śladu; woda była bez przejrzystości, rzeka bez oblasku. Przed nami, za nami i na wszystkie strony, przerażliwa panowała ciemność. Noc pochłaniała wszystko.

Niebawnie na dalszych łodziach zapasy palne kolejno kończyć się poczęły, światła ich gasły. Nasze dwa biedne kagańce miały je zastąpić.

Już nikt ani śpiewał, ani rozmawiał. Każdy myślał, czuł, czy dumał.... każdy był przerażony, już to wyraźną o sobie, lub o innych trwogą, już to ogólną tego obrazu straszliwą wspaniałością.

Dunajec, jakby wściekły niósł nas zapamiętale. Wiosła od brył skalistych jedynie odpychając, żadnego nie robiły szelestu. Nic słychać nie było, jak jęki wiatru i bijące w opokę falę..... Czasem tylko z jakiegoś lochu zerwał się raptownie jakiś ptak nocny i przeleciał nad głową, jakby duch złowieszczy..... Jakieś ustępy z Dantego po myśli mi krążyły.....

Kiedy tak wszystko w uroczystém było pogrążone milczeniu, a każdy w sobie zanurzony do wielkich czuł się przysposobiony wrażeń, usłyszano raptownie w tyle, krzyk, hałas, wołanie... Była to prośba pomocy, wołanie o ratunek.... była to jedna z ostatnich łodzi, pozbawionych światła, o skałę rozbita.... Były to jęki tonących....

O! cóż odda okropność przerażenia wówczas naszego!

Ratunek z naszéj strony był niepodobnym. Pęd rzeki był tak gwałtowny, iż w niczyjéj nie było mocy, wstrzymać czołna, a tym mniéj, w tył je przeciw wody zwrócić. Zamiast więc podania im ręki, uciekaliśmy przed nieszczęśliwymi, unosząc z sobą jedyne światło, jakie im przyświecać mogło, światło tak im nieodzownie potrzebne! Uciekaliśmy tak szybko, iż w parę minut, już i jęki ich do nas nie dochodziły, i wołania w szeleście fal ginęły. My już tylko ciągle błagaliśmy naszych Górali, żeby mimo niebezpieczeństwa do brzegu przybić próbowali, a sobie najokropniejsze czyniliśmy wyrzuty za nieprzebaczoną płochość, z jaką ten nocny spacer przedsięwzięty został, płochość, tak drogo teraz okupioną.

Po długich wysileniach, przybyliśmy do brzegu, już nie dla ratowania, bo było za późno i za daleko, lecz dla dowiedzenia się, co się stało, bo w takiéj trwodze, dłużéj żyć niepodobna było.

Inne łodzie przybyły do nas.

Obliczywszy się, pomiarkowano: iż nie jednéj, ale dwóch brakuje. Ztąd wniosek, że, albo obie zginęły, czego nie przypuszczaliśmy, lub, że jedna musiała być jeszcze daléj, a z tyłu nadpłynąwszy, dała tamtéj ratunek.

Odłączono jedno czołno z najśmielszym wioślarzem, dano mu kaganiec i posłano na zwiady.

Czekaliśmy ze trzy kwadranse w największéj obawie.

Te trzy kwadranse okropnie długie były.

W końcu, wrócił nasz Góral z doniesieniem, iż łódka ta, co wiozła muzykę, zaczepiła się i przewróciła, ale tak szczęśliwie, iż wszystkich na jakieś stosy kamieni wyrzuciła. Druga za nią płynąc, zaraz jéj pomoc dała. Prócz wielkiego przestrachu i zimnéj dla niektórych kąpieli, nie było innego nieszczęścia.

Odżyliśmy wszyscy.

Z lżejszém sercem płynęliśmy daléj. W pół godziny, opoki się zniżać poczęły, brzeg płaski ujrzeliśmy z radością. Byliśmy w Szczawnicach, to jest: o ćwierć mili od pałacu i zamku.

Cały brzeg pełen był ludzi, pochodni i pojazdów. Wszyscy w największéj niespokojności nas czekali. Z zakładu przysyłano prócz tego co moment dowiadywać się o nas. Posłańce wracali, mówiąc: że nic nie słychać, że pewno jakieś musiało stać się nieszczęście. Ten wniosek z ust do ust przechodząc, w trzeciém, lub czwartém opowiadaniu, przeistaczał się w pewność. Wkrótce opowiadano, gdzie i jak mieliśmy zginąć, a potém, jak ginęliśmy. Gdyśmy przybyli, nikt już o śmierci naszéj nie wątpił.

Znalazłam moję biedną chorą na ganku klęczącą; w rzewnéj modlitwie łzy lała. Gdym stanęła przed nią, przeraźliwie krzyknęła w przekonaniu, że mój duch się jéj okazał.

Następnego ranka, witano nas przy źródle, jakbyśmy z tamtego wrócili świata; lecz nie ręczyłabym, że w tych uśmiechach radości, nie było nieco żalu, żeśmy tak tanio nasze okupili zuchwalstwo, że tyle doznawszy rozmaitych wrażeń i wstrząśnień (czego nam bardzo zazdroszczono), mogliśmy jeszcze chełpić się niepospolitą odwagą. A tę odwagę, którąby innym przymiotnikiem nazwano, gdyby nas niebyła cudowna Opatrzności ręka wsparła, już nikt potępiać nie chciał, każdy owszem nas wielbił — bo się nam udało.

Po tym wypadku, który na dni kilka zasilał rozmowy, gdy znów komeraże z nową żwawością krążyć w naszém ciasném kole poczęły; niesłychanie niemi znudzona, zaczęłam wypytywać się o Karpaty, i nawiasem parę razy powiedziałam o chęci poznania tych gór naszych, o których dokładnego nie miałam wyobrażenia.

Myśl ta, przerobiła się wkrótce w projekt. Pani T*** także Karpat nie znała, i już od dawna zamyślała o téj wyprawie. Zdrowie jéj nie sprzeciwiało się przerwaniu kuracyi; ja zaś moję chorą miałam zostawić, a tak, nic nam na przeszkodzie nie stało, by wspólnie tego dłuższego nieco, niż ostatni, użyć spaceru, tém bardziéj, iż nie radzono tam się puszczać saméj, lub w parę tylko osób.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przy końcu pierwszego półrocza dziesiątego roku istnienia **Przyjaciela Ludu**, *upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na drugie półrocze roku tegoż w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.*

Wszystkie królewskie Urzędy pocztowe przyjmują jak wprzódy zamówienia na Przyjaciela ludu. Jeżeli tenże z Cennika gazetowego wymazanym został, stało się to, jak się później okazało, jedynie przez zamianę z pismem równéj nazwy, które w Łyku wychodzić przestało.

***Ernest Günther**, wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)